

TEMAT
TYGODNIA

- 12 Martyna Bunda
Jak dziś okazać wdzięczność w służbie zdrowia

POLITYKA

- 15 Jacek Żakowski
Emerytury: pęknięty III filar
18 Janina Paradowska
Nowe porządki w służbach specjalnych
20 Wiesław Władysław
Po awanturze wokół „Pokłosa” mamy awanturę w sprawie akcji Wisła
22 Grzegorz Rzeczkowski
Tele-wizja prawicy

KRAJ

- 24 Edyta Gietka
Nowa usługa: odpłatne testowanie wierności
28 Marcin Kołodziejczyk
Teresa zwana Toracci
30 Rozmowa z **Anną Grodzką**, posłanką Ruchu Palikota, o politycznym teatrze z rocznej perspektywy
32 Ryszarda Socha
Pies celebryta
34 Barbara Pietkiewicz
Za co zabija się matkę

RYNEK

- 36 Ryszarda Socha
Zjemy węgorza z próbki?
40 Adam Grzeszak
Rządy pomagają swoim
42 Urszula Szyperska
Za błędy deweloperów nadal płacą klienci

ŚWIAT

- 44 Tomasz Zalewski USA
Republikanie w kryzysie
47 Edwin Bendyk, Jędrzej Winiecki
KOREA POŁUDNIOWA Pracowity prymus Azji
50 Marta Zdzieborska INDIE
Rewolucji moralnej nie będzie



18 ABW: ruchy pod przykryciem



24 Testerzy wierności



36 Dotacje złowione na węgorza



100 Nieposłuszna Ameryka

HISTORIA

- 52 Marcin Zaremba
Bigosowy socjalizm Gierka
55 Andrzej Krajewski
W II RP też toczono spór o ubój rytualny zwierząt

NAUKA

- 58 Edwin Bendyk
Apple, Microsoft, Google... – zarobiły, teraz mogą wydać. Tylko na co?
62 Marek Matacz
Sterowanie mózgiem

KULTURA

- 70 Piotr Sarzyński
Sztuka XX w. – zaskakująca wystawa w Łodzi
74 Rozmowa z **Jerzym Płażewskim**, historykiem kina, o 14 500 filmach, które obejrzał
77 KAWIARNIA LITERACKA
Michał Witkowski
78 Bartek Chaciński
YouTube – nowa globalna telewizja
81 Mea Pulp
Kuby Wojewódzkiego
82 Marek Groński
Przedwojenne mniejszości seksualne

LUDZIE I STYLE

- 84 Sebastian Frąckiewicz
Wielka kariera małych gier
88 Rozmowa z **Joanną Bronisławską**, nauczycielką muzyki, o tym, jak ćwiczyć wrażliwość na dźwięki
91 Joanna Solska
Jak prezes giełdy inwestował w uczucie

NA WŁASNE OCZY

- 100 Tekst i fotografie
Natalia Gańko-Laska
Uciekinierzy z amerykańskiego stylu życia

STAŁE RUBRYKI

- 4 Mleczko i Mizerski • 6 Ludzie i wydarzenia • 66 Afisz • 94 Do i od redakcji • 95 Hartman • 96 Passent • 98 Fusy, plusy i minusy • 106 Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

GALERIE ANDRZEJA MLECZKO: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14, WARSZAWA, UL. MARSZAŁKOWSKA 140

sławomir mizerski z życia sfer

O dwadzieścia mostów za daleko

felieton



Premier zapewnia, że w nadchodzącym roku nic strasznego nam nie grozi, ale i tak czuć, że coś się kroi. Zwłaszcza gdy z mediów dowiadujemy się, że armia tworzy właśnie Wojskowe Jednostki Odbudowy mające likwidować skutki klęsk, a MON ujawnia, że w ich skład wejdą wszechstronnie wyszkoleni żołnierze, mający uprawnienia do kierowania nie tylko nowoczesną wywrotką, ale również dźwigiem, koparką czy walcem drogowym. Obawy co do możliwego rozwoju sytuacji dodatkowo nasiliły się, gdy podczas spotkania z saperami z Kazunia premier ogłosił, że w 2013 r. żołnierze wybudują 20 nowych mostów, a w 2014 r. dalszych 30. Są to liczby niepokojące, wskazujące na to, że lata te będą wyjątkowo trudne, a straty w mostach ogromne.

Ujawnienie planów inwestycyjnych wojska kończy długotrwałą dyskusję o tym, po co nam armia i jakie jest jej miejsce w społeczeństwie. Powiedzmy sobie szczerze: armia

długo tego miejsca szukała. Przez wiele lat Sztab Generalny uparcie lansował pogląd, że wojsko jest niezbędne na wypadek konfrontacji zbrojnej z ewentualnym najeźdźcą. Wygląda jednak na to, że okres ten mamy za sobą i że wojsko zajmie się wreszcie sprawami, z którymi cywile od lat nie dają sobie rady, np. budową mostów, a w przyszłości – miejmy nadzieję – także autostrad i stadionów.

Wojska nie powinno się likwidować także dlatego, że jego istnienie przysparza budżetowi niebagatelnych korzyści. „Rzeczpospolita” poinformowała, że w zeszłym roku armia nie wykorzystała na inwestycje i zakupy nowego uzbrojenia co najmniej 800 mln zł, które tym samym pozostały w państwowej kasie. Okazuje się, że wynik ten udało się osiągnąć dzięki wyjątkowo nieudolnie przygotowanym przetargom oraz niekompetencji ludzi opracowujących warunki dla przyszłych zamówień. Gdyby nie

ich wysiłek, prawdopodobnie pieniądze te byłyby dla budżetu stracone.

Oczywiście zaoszczędzone miliony to kropla w morzu potrzeb. Wojsko z pewnością stać na więcej, zaś fakt, że w ub.r. ludziom odpowiedzialnym za inwestycje i organizowanie przetargów udało się jednak wydać aż 5,5 mld zł, dowodzi, że wciąż są oni niewystarczająco niekompetentni i działają niedostatecznie nieudolnie.

W trosce o nasze pieniądze powinniśmy życzyć tym ludziom więcej niekompetencji i nieudolności w pracy, co – miejmy nadzieję – w tym roku pozwoli im nie wydać kwoty o wiele większej niż w zeszłym. Część uzyskanych oszczędności należałoby przeznaczyć na dalsze wzmocnienie kadry odpowiedzialnej za zamówienia i przygotowanie przetargów, dzięki czemu już w niedalekiej przyszłości na uzbrojenie i wyposażenie armii uda się być może nie wydać ani jednej złotówki.

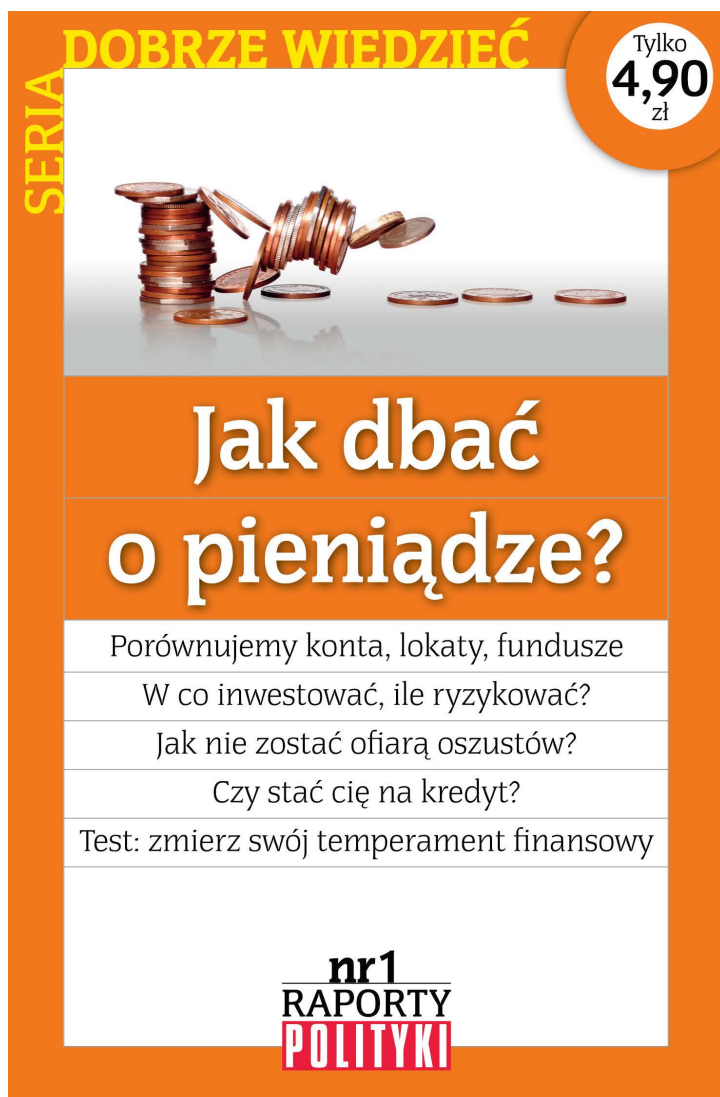
Nowa seria wydawnicza

RAPORTY POLITYKI

DOBRZE WIEDZIEĆ

W miarę krótko. Rzeczowo i kompetentnie.

Raporty POLITYKI to seria krótkich, przydatnych i poręcznych książek. Do czytania w komunikacji miejskiej, w czasie przerwy w pracy, między zajęciami na uczelni, w oczekiwaniu na spotkanie. To lektura obowiązkowa dla wszystkich, którzy chcą wiedzieć więcej i lepiej radzić sobie z wyzwaniami współczesnego świata.



Raport nr 1 „Jak dbać o pieniądze?” w sprzedaży za tydzień 16 stycznia

Dla przeznających i rozrzutnych, dla oszczędnych i nieliczących się z groszem, dla zapobiegliwych i nierozważnych. Dla głównych żywicieli rodzin i tych, którzy są na ich utrzymaniu. Dla inwestujących i zastanawiających się, jak dotrwać do pierwszego. Dla tych, którzy nie chcą marnować swoich pieniędzy.

Kolejne Raporty do kupienia co dwa tygodnie w dobrych punktach sprzedaży prasy. Dostępne także jako e-booki oraz w wersji na iPada.



Kup książkę



Bal z cegiełką

Gdzie, z kim i za ile można poszaleć w tym karnawale? Najtaniej, bo już za 10 zł, będą się bawić seniorzy z Gostynina na Karnawałowym Wieczorze Tanecznym. Dwa razy tyle kosztuje wejście na Diecezjalny Bal Karnawałowy Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży diecezji sandomierskiej w Zaklikowie (bal rozpocznie się od mszy św.). Wśród parafialnych ofert mamy też bezalkoholowy Hawajski Bal Karnawałowy Domowego Kościoła diecezji toruńskiej – Rejon Rubinkowo (60 zł od pary), bal „na sportowo” w jednej ze świątchłowickich parafii (70 zł, należy mieć na sobie sportową część ubioru lub odpowiedni rekwizyt) i bal Akcji Katolickiej archidiecezji poznańskiej (290 zł od pary).

Szaleć można na balu Polskiego Związku Głuchych w Chojnicach (60 zł), u strażaków ochotników z Kościana (70 zł), na Balu

Fizyka studentów AGH (80 zł, „napoje energetyczne” do 0,5 l na parę można wnieść bez dodatkowych opłat) i na Balu Karnawałowym „Bollywood Party” organizowanym przez... Kaszubski Zespół Pieśni i Tańca z Chmielna (110 zł, „wystarczy przebrać się w strój indyjski, aby poczuć się gwiazdą bollywoodzkiego kina”). Zaproszenie na Wielki Studencki Bal w auli Politechniki Warszawskiej kosztuje 130 zł, ale w cenie mamy trzy lekcje tańca. Tyle samo kosztuje Bal Lions Club Gdańsk Amber, połączony z kolędowaniem.

Z bali „korporacyjnych” do oszczędnych należy Bal Leśników w Pile (60 zł). Więcej kosztuje wejście na Bal Policjanta w Łodzi (120 zł, bez alkoholu), Bal Rolnika w Białogardzie (135 zł, bez alkoholu), Bal Rectorski Uniwersytetu Przyrodniczego w Lublinie (150 zł), Bal Mostowców Dolnośląskich i In-

żynierów Budownictwa (160 zł), Bal Górnika w podziemiach kopalni w Bochni (250 zł, za alkohol dodatkowo) i Bal Korporacji Handlu Zagranicznego w Warszawie (250 zł). Na Balu Lekarza we Wrocławiu można się bawić za 240 zł i w Krakowie za 270 zł.

Terytorialnie różnice daje się dostrzec w cenach zaproszeń na bale korporacji prawniczych. Adwokaci z Olsztyna będą się bawić za 180 zł od osoby, w Białymstoku – za 190 zł, w Krakowie – za 350 zł, a radcy prawni z Warszawy – za 440 zł. Tych ostatnich przebili adwokaci z Trójmiasta, organizując Bal Adwokacki w sopockim Grand Hotelu za 450 zł od osoby, co i tak nie jest rekordem tegorocznego karnawału. Każdy uczestnik **Balu Dobroczyńnego Anny i Rafała Dutkiewiczów** we wrocławskiej Hali Stulecia musi kupić „cegiełkę” za 700 zł. (M.H.)

Nie zabijajcie tego tematu

Joanna Cieśla

komentarz

Osobiście dopuszczam taki sposób pomocy, bo ja to tak rozumiem – eutanazja to dla mnie pomoc starszym w cierpieniach” – powiedział Jurek Owsiak, lider Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy, w wywiadzie dla portalu Dziennik.pl. W martwym medialnie okresie świąteczno-noworocznym politykom i publicystom politycznym lepszy prezent nie mógł się trafić. Rozkręcił się komentatorski ponadpartyjny karnawał. „W krajach, gdzie eutanazja jest dopuszczalna, starsze osoby obawiają się korzystać z pomocy służby zdrowia z powodu obawy utraty życia” – oświecili społeczeństwo Krzysztof Jaworski z SP, Marek Sawicki z PSL, Jacek Zalek z PO oraz Przemysław Wipler z PiS we wspólnym liście, zawierającym apel do Owsiaaka, by wycofał się ze swoich słów. Senator PO Filip Libicki i Tomasz Terlikowski, redaktor naczelny portalu Fronda, zasugerowali, że WOŚP lada moment zacznie zbierać pieniądze na sprzęt do eutanazji (a może nawet już to robi). Terlikowski zaproponował, by nie mówić o eutanazji, lecz o usypianiu staruszków niczym psy, bo taki język jest prawdziwszy.

Jurek Owsiak w podnoszeniu trudnych tematów widzi istotną część swojej społecznej roli. To wkładanie kija w mrowisko wychodzi mu raz zręczniejsz, raz mniej zręczniejsz, ale zwykle sugestywnie. W odpowiedzi na apel parla-



mentarzystów przyznawał się do rozterek i do ludzkiego odruchu popadania w skrajności. „Kiedy obserwuję zmagania z chorobą, kiedy widzę, jak bardzo często te zmagania, okupione ogromnym cierpieniem, skazane są na niepowodzenie, kiedy widzę, jak bolesna dla człowieka jest bezsilność, mam odwagę przyznać się do takich dylematów. Dyskutuję z przyjaciółmi, z lekarzami, z ludźmi wierzącymi, niewierzącymi, z rodzicami w szpitalach i mimo lat doświadczeń, nie odważyłbym się kogokolwiek nakłaniać i komukolwiek cokolwiek sugerować”.

Od dyskusji, którą Owsiak – jak mówi – jest gotów rozpuścić, nie sposób uciec. Eutanazja czy zaprzestanie uprzejmej terapii to najpoważniejszy dylemat etyczny, jaki przed ludzkością postawił rozwój medycyny. Śmierć, koniec życia budzą najgłębsze ludzkie lęki, są centralnymi kwestiami religii, więc można się spodziewać, że debata będzie jeszcze ostrzejsza, niż ta powracająca o aborcji. Nie sposób jej sobie wyobrazić bez polityków. Ale musi być w niej miejsce dla takich jak Owsiak, dla lekarzy, naukowców, dla tych, którzy pracują wśród osób starszych i śmiertelnie chorych. Dla ich wiedzy, doświadczenia, wrażliwości. By uciec na tyle, na ile się da, od obelg i ludowych mądrości.

Rozmowa Jacka Żakowskiego z Jerzym Owsiakiem na: WWW.POLITYKA.PL

Szczęśliwa trzynastka

Dla kogo 2013 r. zaczął się dobrze? Dość niespodziewanie dla Platformy Obywatelskiej, która w pierwszym poświęconym sondażowi zanotowała oszałamiający wynik 42 proc. poparcia i właściwie zdeklasowała PiS. Znaczenie ma to niewielkie, bo za chwilę będą inne sondaże, a realne szanse i tak zaczniemy oceniać na trzy, cztery miesiące przed wyborami, ale zawsze trochę optymizmu rządzącym się przyda. Zwłaszcza że rok ma być trudny, choć, jak „zaćwierkał” premier na Twitterze, może lepszy, niż się spodziewamy.

W sprawie ćwierkania mam mocno mieszane uczucia – nie jestem wielką fanką. Specjaliści już mi jednak wyjaśnili, że wysokie notowania PO na początku roku to właśnie wynik tej nowoczesnej formy komunikacji. Nie wiem, skąd to wiedzą i kiedy rzecz zbadali, bo sondaż przeprowadzono w tym samym czasie, w którym premier dopiero się ćwierkania uczył, i nie zawsze mu to ładnie wychodziło, ale skoro sondażowe autorytety orzekły, wypada poczekać, co będzie dalej.

Być może 2013 r. zaczął się dobrze także dla eurodeputowanego Pawła Kowala, którego prezes PSL Janusz Piechociński chce przyciągnąć, być może wraz z resztkami partii Polska Jest Najważniejsza, do swojego „szerokiego centrum”. Czyli najpewniej na ludowe listy wyborcze, nie przesądzając wszak, że jakiejś nowej formacji z tego nie będzie. W każdym razie Paweł Kowal ogłosił, że już odniósł sukces, bo rząd z udziałem PSL prowadzi politykę prorodziną (premier ogłosił właśnie 2013 Rokiem Rodziny) wedle wzoru PJN, a więc zbieżność programowa jest wyraźna. W szeregach ludowców zapanała natomiast niepewność, czy szerokie centrum oznacza, że nowy prezes przystąpił właśnie do likwidacji PSL? Na razie takie pytania mają charakter żartobliwy, ale kto wie, może Piechociński rzeczywiście nie żartował, kiedy na kongresie obiecywał odnowione i posze-

zione PSL? Wielu dawnym działaczom wcale nie musi się to podobać. Widać, że Piechociński nie bez powodu bronił się przed objęciem resortu gospodarki, bo pomysłów czysto partyjnych ma sporo. Na gospodarcze czekamy.

Także eurodeputowany Zbigniew Ziobro oraz poseł Mariusz Kamiński uznali wspólnie, choć są dziś w różnych i raczej zwalczających się partiach, że 2013 r. zaczął się dla nich dobrze, sąd uznał bowiem dr. Mirosława G. za winnego przyjęcia wyrazów wdzięczności od pacjentów, w kwocie ok. 17 tys. zł, za co wymierzył mu najniższą możliwą karę, ale jednak wymierzył. Więc obaj panowie biegają po mediach, wołając: mieliśmy rację, jest winny!

Po wysłuchaniu uzasadnienia wyroku sądzę jednak, że 2013 r. dla obu panów zaczął się wyjątkowo źle. Wyrok skazujący, bo zapewne innego być nie mogło, jest dramatem człowieka, znakomitego kardiochirurga, który wiele wymagał od współpracowników i od siebie, ale uległ temu, co dość enigmatycznie nazywa się „normą kulturową”, czyli prezentom od wdzięcznych pacjentów, także w gotówce.



Uzasadnienie wyroku, a w ślad za tym zapowiedziane wnioski do prokuratury w sprawie przewinień dyscyplinarnych CBA w toku postępowania i fałszywych zeznań – to już jednak dramat państwa. To państwu służyła specjalna stosowała taktykę i metody, które sędzia porównał do najgorszych stalinowskich czasów. W gruncie rzeczy proces dr. G. zmienił się więc w proces przeciwko CBA.

Osprawie dr. G. wiedzieliśmy prawie wszystko, zanim proces się zaczął. Wiedzieliśmy, że jest robiona na siłę, na polityczne zamówienie szukania „układu”. Że brakuje dowodów, że odbywają się przy niej liczne manipulacje, a wysocy urzędnicy państwowi, z ówczesnym ministrem sprawiedliwości Zbigniewem Ziobrą na czele, widowiskowo skazują, zanim poznają dokumenty śledztwa (których zresztą znać nie powinni) i że sterują opinią publiczną, by obudzić społeczny gniew na tych inteligentów lekarzy

(a przy okazji i innych). To się udawało – wystarczy wspomnieć niektóre prasowe tytuły, jak choćby „Doktor Śmierć”. Najwyraźniej jednak sędzia Igor Tuleya po zapoznaniu się z aktami (ich objętość była imponująca, bo tak zwykle już jest, że im oskarżenie bardziej kruche, tym tomów sprawy więcej) i przesłuchaniu świadków zobaczył zdecydowanie więcej, skoro zdecydował się na tak mocne słowa oskarżenia pod adresem pisowskiego CBA. A nie jest to sędzia nie-doświadczony, młodziak. Ma za sobą wiele publikacji, także dotyczących orzecznictwa karnego, i ma odwagę, aby mówić bez owijania w bawełnę, językiem zrozumiałym dla opinii publicznej.

To manipulacjach w tym śledztwie, powinno zmieść na zawsze ze sceny politycznej autorów owego głośnego zatrzymania. Ale nie zmiecie. Odpowiedzialność polityków za ich czyny jest w Polsce kwestią bardziej niż umowną. Na razie wrogiem publicznym prawicy pozostanie sam sędzia Tuleya, ponoć „nienawistny” wobec porządku IV RP. I już właściwie nie bardzo wiadomo, czy jest dobry, bo dzięki niemu Ziobro z Kamińskim ogłaszają sukces, czy jednak głównie nienawistny?

Jan Koza



© JAN KOZA

Podręczniki akademickie – po rewolucji katastrofa?



© TADEUSZ POŹNIAK

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego szykuje rewolucję w wydawaniu i sposobach dostępu do podręczników akademickich. Ma być cyfrowo, profesjonalnie i światowo. Wydawcy są przekonani, że to oni będą ofiarami tej rewolucji. – *Ministerstwo ma piękne intencje i chce ulżyć studentom. Ale proponuje warunki, przy których wydawanie podręczników akademickich nie będzie miało ekonomicznego uzasadnienia* – mówi Piotr Dobrołęcki z Polskiej Izby Książki.

Od lat większość podręczników akademickich ukazuje się jedynie dzięki dotacji Ministerstwa Nauki. Co roku na ten cel przeznaczane jest około 9 mln zł, co starczy na dofinansowanie wydania 250–300 podręczników. Produkcja jest więc imponująca. Gorzej z efektami. Eksperti już od dłuższego czasu alarmują, że wydawane w Polsce podręczniki mają coraz niższy poziom. Zarówno merytoryczny, jak i edytorski. Drukowane treści nie zawsze nadążały za najnowszymi światowymi odkryciami. Kulał system selekcji materiałów, w którym tak samo dofinansowywane były książki wtórne, jak te na wysokim poziomie naukowym. Wydawcy bronią się, że dotacje były głodowe. A sprzedaż z roku na rok spada, bo studenci ich masowo okradają, kserując całe książki albo wrzucając pliki z nimi do Internetu.

Na początku roku ministerstwo przygotowało projekt rozporządzenia, który do góry nogami wywraca dotychczasowe

zasady dofinansowywania podręczników. Jeśli przepisy wejdą w życie w takim brzmieniu, to niebawem, nawet w najmniejszej bibliotece naukowej, student będzie mógł za darmo sięgnąć do każdego podręcznika, który wydany został z państwową dotacją. Każdy wydawca będzie zobowiązany przekazać elektroniczną kopię podręcznika do Biblioteki Narodowej. A ta, w ramach tworzonego właśnie systemu wymiany międzybibliotekowej, będzie rozsyłała pliki do bibliotek, które zgłaszają akces do systemu. Student będzie mógł przeczytać podręcznik tylko na miejscu i nie będzie mógł go skopiować, ale za to dostanie go od ręki.

Darmowe przekazywanie elektronicznych wersji podręczników wzbudza największe opory wśród wydawców. – *Ten pomysł właściwie wyklucza możliwość wydawania z dotacją przekładów zagranicznych podręczników* – mówi Łukasz Kocój, dyrektor Wydawnictwa Uniwersytetu Jagiellońskiego. – *Żaden zagraniczny autor nie zgodzi się na taki zapis. To odetnie polskich studentów od światowej wiedzy.* Projekt oprotowało również Stowarzyszenie Wydawców Szkół Wyższych. Zdaniem wydawców za niskie są nowo zaproponowane kwoty dofinansowania. Nierealne terminy wydania książek, zbyt restrykcyjne zapisy kontrolne i przerzucenie całego ryzyka finansowego na wydawcę. Analizując postulaty wydawców, można dojść do wniosku, że godzą się na zmiany pod warunkiem, że będzie tak jak było. A odpowiedzialna za

ten obszar wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego prof. Daria Nałęcz jest zdania, że powrotu do poprzedniego modelu już nie ma: – *Stary system nie służył ani studentom, ani rozwojowi nauki. Co najwyżej pozwalał jakoś egzystować kilku wydawcom. Nie o to w tym wszystkim chodzi.*

W nowych przepisach ministerstwo stawia duży nacisk na przejrzystość procedur, zwłaszcza w kwestii systemu recenzynego, którego zasady mają być zmienione. Resort zamierza powołać komisję do spraw podręczników, która ma oceniać wnioski pod względem merytorycznym. Według nowych przepisów nie będzie już możliwa sytuacja, w której podręcznik oceniał będzie kolega autora z tej samej uczelni. Albo osoba blisko z nim związana, co zdarzało się wcześniej. W wydawców uderza również zapis o obowiązku uregulowania kwestii honorariów. – *Nie ma się czym chwalić, ale na palcach jednej ręki można policzyć wydawnictwa, które płaciły autorom. Większość, jeśli w ogóle to robiła, to symbolicznie w książkach.* Godziliśmy się na to, bo publikacje potrzebne są do pokonywania kolejnych szczebli kariery – mówi dr hab. z Uniwersytetu Warszawskiego. Jeśli ministerstwo przevorsuje zmiany, to prof. Nałęcz długo będzie musiała szukać wydawcy, jeśli sama napisze kolejną książkę. Za to łatwo jej będzie znaleźć wielu wdzięcznych studentów, dla których podręczniki, nawet te dofinansowywane przez państwo, są ciągle za drogie.

JULIUSZ CWIŁUCH

800 ciężarówek chce w tym roku kupić polska armia.

Ale ten, kto wygra ten przetrą, spokojnie będzie mógł dopisać do zamówienia jedno zero. Armia przez ostatnich 18 lat zakupy ciężarówek ograniczała do minimum. W efekcie średnia życia sprzętu oscyluje wokół 30 lat. W ciągu najbliższych kilku lat trzeba będzie wymienić wszystkie ciężarówki o tzw. wysokiej mobilności, czyli Stary 266. Wojsko chciałoby wybrać jednego producenta, który dostarczałby różne rodzaje wozów. Ma to oznaczać oszczędności związane z serwisowaniem i logistyką części zamiennych. Zapowiada się zacięta walka o kontrakt wart kilka miliardów złotych, bo to największe zamówienie tego typu w Europie. (JUL)

Co się czyta u premiera, w CBA i ABW

W Kancelarii Premiera najbardziej poczytny dziennik to „Rzeczpospolita”, bo na rozpoczynający się rok zamówiono 54 egzemplarze, o siedem więcej niż „Dziennika Gazety Prawnej”, o 10 więcej niż „Gazety Wyborczej” oraz o 45 więcej niż „Naszego Dziennika” i „Gazety Polskiej Codziennie”. Tabloidowa wiedza cieszy się mniejszym zainteresowaniem pracowników Kancelarii przy Alejach Ujazdowskich, bo zamówili tylko 16 „Faktów” i o jeden mniej „Super Express”. Z tygodników z kolei najchętniej w Kancelarii Premiera czyta się POLITYKĘ (39 egz.), dalej „Wprost” (38), „Newsweeka” (37) i „Uważam Rze” (20), ale odbiorców ma także „Forum” (10). Na biurka urzędników trafia też „Marketing w praktyce”, „Media i Marketing Polska” oraz „Think Tank”, a także (może po wypadkach związanych z aferą Amber Gold) „Bank i Kredyt”.

Pełny przegląd specjalistycznej prasy trafi do Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Wiedzę o psychologicznym podejściu do rozpracowywanych agencji będą czerpać z miesięczników „Charaktery”, „Coaching” i „Sens”. W ich ręce trafi też „Elektronika Praktyczna”, „Energia Elektryczna”, „Hotelarz” i „Murator”, a z tygodników „Wprost” (16 egz.), „Newsweek” (15), POLITYKA (14) i „Uważam Rze” (5). Zamówiono też prasę okołomedyczną: „Magazyn Pielęgniarki i Położnej”, „Fizjoterapia i Rehabilitacja” oraz „Twój Przegląd Stomatologiczny”. Z zamówień złożonych z kolei przez Centralne Biuro Antykorupcyjne widać, że służba ta szczególnie interesuje się niektórymi grupami zawodowymi. W CBA mają zamiar czytać: „Rynek Kolejowy”, „Rynek Zdrowia”, „Puls Medyczny”, „Nową Gazetę Leśną” oraz „Gazetę Samorządu i Administracji”. Być może agencji będą też robić lepsze zdjęcia niż te, na których widzieliśmy Tomasza Kaczmarskiego, czyli agenta Tomka, bo kierownictwo CBA zamówiło miesięcznik „Digital FOTO-VIDEO”. (DAB.)

Wilk wraca do lasu

Pprzed planowanymi na 11 i 12 stycznia wyborami prezydenckimi w Czechach największą szansę na wygraną sondaże dają byłemu premierowi **Miloszowi Zemanowi**. Obok Zemana liczy się też były premier, ekonomista Jan Fischer. Faworytem jest jednak Zeman, bo choć teraz obaj politycy idą łeb w łeb, w drugiej turze, zaplanowanej na 25 i 26 stycznia, to on ma większe szanse. Jeśli mu się uda, będzie trzecim w historii prezydentem Czech, a przy tym pierwszym wybranym w głosowaniu powszechnym (dotychczas prezydentów Czech wybierało Zgromadzenie Narodowe).

Zeman był premierem socjaldemokratycznego rządu w latach 1998–2002. Potem wycofał się z polityki i zapowiedział, że resztę życia spędzi w swojej leśniczówce, obejmując drzewa. Nikt w to jednak za bardzo nie wierzył, bo Zemana ciągnęło do wielkiej polityki jak wilka do lasu. Wskazywały na to kolejne jego manewry i alianse. A teraz wraca, niesiony na fali lewicowych haseł oraz szczególnego, osobistego uroku. Czaruje wyborców m.in. celowo kultywowanym imagem „typowego Czecha”, chwali się zamiłowaniem do piwa i tłustego jedzenia, jowialnie żartuje z własnej tuszy. I to działa, jakkolwiek czeskie elity tego stereotypu nienawidzą, stąd m.in. niechęć większości mediów do Zemana.



Wielka Niedźwiedzica kontra GPS

Na nowy rok oficjalnie zainaugurowano Beidou, czyli Wielką Niedźwiedzicę, chiński system nawigacji satelitarnej, odpowiednik amerykańskiego GPS (który opowiadał 95 proc. rynku tego rodzaju usług). To kolejny pomnik mocarstwowych ambicji Pekinu, ale i rosnącej chińskiej konkurencji, również w dziedzinie technologii kosmicznych. Dość powiedzieć, że rosyjski Glonass, a zwłaszcza wiecznie opóźniony unijny system Galileo, pozostają daleko w tyle. Na razie sieć 16 satelitów pozwala Beidou wskazywać położenie w regionie Azji i Pacyfiku aż po całą Australię, jak podkreślał Ran Chengqi, rzecznik biura do spraw nawigacji satelitarnej. W 2020 r. Niedźwiedzica ma objąć cały świat. Zdaniem Rana, na Beidou powinni się obowiązkowo przełączyć chińscy użytkownicy GPS. I wykazać patriotyczne zrozumienie, gdyby pojawiły się jakieś problemy.

Soczi pod lupą

W ramach walki z korupcją Władimir Putin, znający pomysłowość rodaków oraz lepkie ręce urzędników, podpisał dekret regulujący ceny biletów na Zimowe Igrzyska Olimpijskie – Soczi 2014. Dokument opublikowany na stronie internetowej Kremla precyzuje wysokość kar za spekulację biletami, ze szczególnym uwzględnieniem imprez otwarcia i zamknięcia olimpiady. Oskarżenia o spekulację będą rozpatrywane w skróconym trybie postępowania administracyjnego. Grzywna dla osoby fizycznej ma wynieść 10-krotną wartość biletu, zaś dla urzędników państwowych i municipalnych – 20-krotną. Zwykły śmiertelnik przyłapany na spekulacji biletami będzie musiał zapłacić grzywnę w wysokości miliona rubli, czyli ok. 30 tys. dol.

Łyżwiarz Aleksiej Jagudin podczas prezentacji logo olimpiady zimowej Soczi 2014 na placu Czerwonym w Moskwie



REKLAMA

Zielony certyfikat
BREEAM In-Use
Asset Rating
and Building Management

Budowa Roku 2009.
Nagroda II stopnia

Wszystkim naszym Najemcom
dziękujemy za okazane zaufanie

virako

Deweloper wyższych standardów
www.virako.pl

Najlepszy Biurowiec
w Polsce 2012

Forum 76
Business Centre
Łódź

Eurobuild
Awards

Kup książkę



W kolejce po dary rozdawane przez jedną z ewangelickich gmin w Berlinie

Niemcy poniżej kreski

Dosyć szokująco wyglądają ostatnie dane Federalnego Urzędu Statystycznego dotyczące skali ubóstwa. Według europejskich norm, do tej kategorii zaliczane są osoby, które (łącznie z zasiłkami) dysponują dochodami poniżej 60 proc. średniej krajowej. W Niemczech oznacza to przeciętnie 848 euro; na wschodzie, gdzie zarobki są niższe, mniej. Dziś już co szósty Niemiec spadł poniżej takiej granicy ubóstwa. W dużych miastach: Berlinie, Lipsku, Dortmundzie, Duisburgu, Hanowerze czy Bremie – co czwarty.

Ponad 4,5 mln Niemców pobiera zasiłek społeczny ALG II, przeznaczony dla osób, które nie mają prawa do zasiłku dla bezrobotnych albo ich dochody są za niskie, aby zapewnić „minimum godnego życia”. Określa się je na 374 euro miesięcznie (po odliczeniu czynszu). Coraz częściej nawet praca w pełnym wymiarze nie zapewnia tego minimum. Ponad 4,6 mln Niemców pracuje za mniej niż 7,50 euro za godzinę. Szczególnie dotkniętą grupą są samozatrudnieni i wykonujący wolne zawody. Blisko 16 proc. osób pobierających zasiłek wyrównawczy to osoby z wyższym wykształceniem: artyści, dziennikarze, graficy, ale też architekci czy nawet prawnicy, pracujący na umowach śmieciowych.

Grób Jezusa za milion dolarów

Stroną pozywającą jest **Simcha Jakubowicz** (pierwszy z lewej), który od kilku lat wzburza środowisko archeologów filmami dokumentalnymi (część wyprodukował wspólnie z Jamesem Cameronem od „Titanica”) oraz ukazującymi się w renomowanym wydawnictwie Simon&Schuster dziełami o początkach chrześcijaństwa. Twierdzi on, iż w jerozolimskiej dzielnicy Talpiot, na podstawie symboli zdobiących sarkofagi, zidentyfikował grobę, w której pochowano Zbawiciela oraz członków jego rodziny. Pozwanym jest archeolog Joe Zias’a, który nazwał Jakubowicza



© AP/EAST NEWS

dyletantem, a jego film o odkryciu groty porównał do opowieści typu „Indiana Jones”. Krytyka ta może go kosztować milion dolarów, bo tyle domaga się za zniesławienie Jakubowicz.

Zważnione strony, posługujące się argumentami naukowymi, przysparzają niemałego bólu głowy przewodniczącemu sądu w Petach Tikwie koło Tel Awiwu. Archeologia, jak wiadomo, nie jest wykładana na wydziale prawa. Na wyrok wpłyną świadectwa plejady naukowców, występujących w charakterze świadków. Sprawa może toczyć się długo, ale już teraz wywołuje burzliwą dyskusję w środowisku historyków chrześcijaństwa na całym świecie.

Skreślił kuzynkę?

Grecki minister finansów, który negocjował pierwszy pakiet pomocowy dla swojego kraju, miał kryć swoich krewnych przed dochodzeniami policji skarbowej. W 2010 r. **Georgios Papakonstantinou** otrzymał spis Greków, którzy ukryli swoje fortuny w szwajcarskim oddziale banku HSBC. Listę przekazała mu ówczesna minister finansów Francji Christine Lagarde, ale dokument „zagiął” w jego resorcie. Minister twierdził, że przekazał go policji skarbowej, a winą obarczył urzędników. Teraz komisja śledcza greckiego parlamentu bada,



© ZUMA PRESS/FORUM

czy sam Papakonstantinou zmanipulował listę, usuwając z niej troje krewnych.

Cała sprawa nie ujrzałaby światła dziennego, gdyby nie dziennikarz, który w październiku opublikował szwajcarską listę. Aresztowano go pod pretekstem naruszenia prywatności oszustów, ale sąd w Atenach nakazał dziennikarza uwolnić. W ubiegłym tygodniu władze francuskie przesyłały rządowi greckiemu kopię listy – tyle że na oryginale z Paryża figurują 2062 nazwiska, a nie 2059, jak na tej, która kursuje w Atenach. Trzy dodatkowe osoby to kuzynka byłego ministra, jej mąż i małżonek drugiej kuzynki. Sam Papakonstantinou twierdzi, że cała sprawa to polityczne porachunki.



Właściwa pozycja pasażerki skutera – może niezbyt wygodnie, ale za to skromnie

Zakaz okrakiem

Burmistrz pewnego indonezyjskiego miasta chce zakazać jazdy okrakiem na skuterach. Zakaz ma dotyczyć kobiet przewożonych na siodełku pasażera. Miasto nazywa się Lhokseumawe, ma 170 tys. mieszkańców i leży na północnym koniuszku Sumatry w prowincji Aceh, rządzącej się według szariat. W regionie wielkości Łotwy cudzołóstwo karane jest kamienowaniem, a homoseksualizm – chłostą. I właśnie zasadami prawa muzułmańskiego – a nie poprawą bezpieczeństwa na ulicach – burmistrz Suaidi Yahya tłumaczy nowe obostrzenia. Jego zdaniem przewożenie par w dotychczasowy sposób urąga dobrem obyczajom i będzie skromniej, jeśli pasażerki siadą z nogami po jednej stronie pojazdu, podobnie jak amazonki w damskich siódlach.

Na Sumatrze i w całej Azji Południowej skutery są podstawą transportu, a wprawny kierowca potrafi zapakować na niewielki motorek kilkuosobową rodzinę albo całkiem pokaźny bagaż. Problem może mieć więc spore znaczenie praktyczne, stąd nawet indonezyjscy muzułmanie łapią się za głowy. Ulil Abshar Abdalla, cytowany przez BBC muzułmański działacz z Dżakarty, zwraca uwagę, że pomysł zakrawa na absurd i to nie tylko dlatego, że Koran słowem nie wspomina o motorowerach. Autor projektu broni się, że zakaz nie jest absolutny – paniom byłoby wolno siedzieć okrakiem pod warunkiem, że będą w niegorszym stroju.

Tata traci cierpliwość

Już tylko 150 km dzieli rebeliantów od Bangui, stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej. Jeszcze do września cztery partyzanckie ugrupowania z północy kraju walczyły równie zacięcie z siłami rządowymi, co z sobą nawzajem. Ale od kiedy zjednoczyły się pod wspólnym szyldem, w ciągu miesiąca podbiły kilkanaście miasteczek i przejęły kontrolę nad regionem, gdzie wydobywa się diamenty. Przed dalszym marszem na południe powstrzymały je dopiero sylwestrowe groźby z zagranicy: drogę zagroziło im kilkadziesiąt ciężarówek wypełnionych żołnierzami przybyłymi z Czadu, Francja wysłała na miejsce stu elitarnych komandosów, a ewentualną pomoc zbrojną dla rządu obiecały też Uganda, Demokratyczna Republika Konga, Kamerun i Gabon.

Tymczasem wojna domowa spowodowała kryzys w rodzinie prezydenta. **François Bozizé** odwołał za niekompetencję ministra obrony, czyli własnego syna Jeana François. Swojego losu jest teraz niepewny drugi potomek głowy państwa i zarazem szef tajnej policji Aimé Vincent. Tym bardziej że zaledwie w listopadzie przywódca dla przykładu wtrącił do więzienia najmłodszego z braci, Kevina, za narobienie wielotysięcznych długów w nowo otwartym w Bangui luksusowym hotelu. Tata ma jednak wyraźnie miękkie serce: wypuścił go po tygodniu.



REKLAMA

**NA SPRZEDAŻ
FOR SALE**

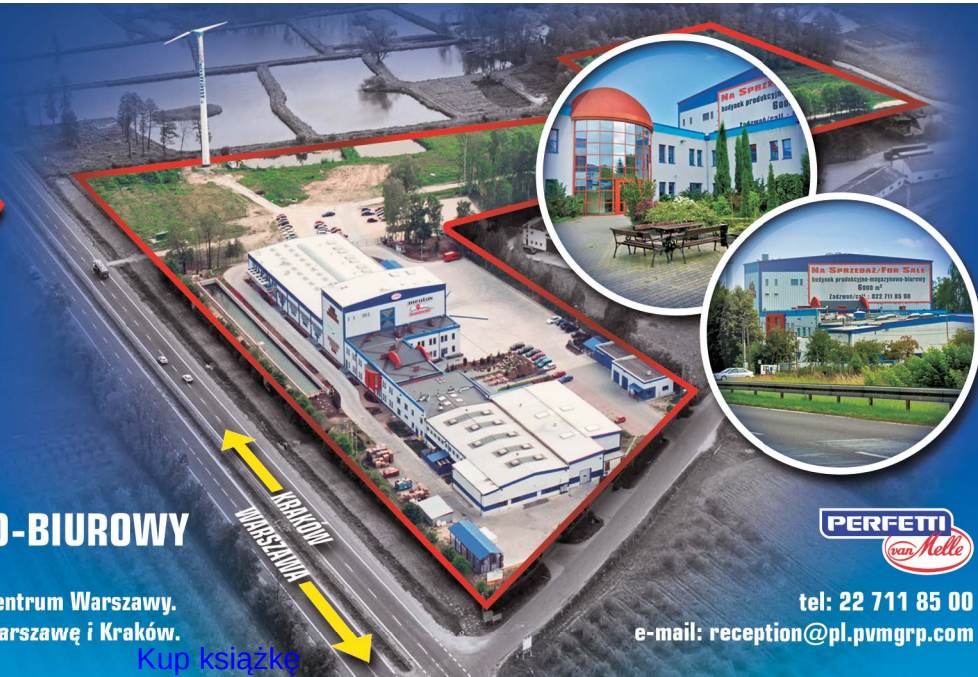
6000 m²

**BUDYNEK
PRODUKCYJNO-MAGAZYNOWO-BIUROWY**

Lokalizacja:

25 km od lotniska Okęcie w Warszawie, 30 km od centrum Warszawy.
Bezpośrednio przy drodze krajowej nr 7, łączącej Warszawę i Kraków.

Kup książkę



PERFETTI
van Nelle

tel: 22 711 85 00

e-mail: reception@pl.pvmgrp.com

Służbo, zdrowiej

Jest wyrok w sprawie doktora G., kardiochirurga aresztowanego sześć lat temu w świetle kamer. Sąd wypowiedział się, gdzie przebiega granica pomiędzy łapówką a wdzięcznością. Kamery znów transmitowały.

MARTYNA BUNDA



Lapówką jest każde wręczenie lekarzowi pieniędzy, niezależnie czy nastąpi to przed, czy po zabiegu – uznał sąd. Dozwolone są inne formy: książki, butelki, pióra wieczne. Albo bociany ogrodowe (dla położnika), piszczałki z drewna wierzbowego, skrzynki z narzędziami do majsterkowania (dla chirurga), majtki, szczeniaki, świniaki, własnego autorstwa olejne portrety – niespodzianki lekarskich dzieci, wykonane na podstawie zdjęć (dla lekarza psychiatry). A nawet dobrze zachowany czynny granat z czasów II wojny światowej (wszystkie przykłady z opowieści lekarzy).

Prawo do wdzięczności

To dobra wiadomość dla pacjentów. Bo ci mają potrzebę odwdzięczenia się, której tło jest głębokie. – *Zjawisko odwdzięczania się lekarzom, także finansowo, jest silnie zakorzenione społecznie z powodów historycznych* – ocenia Maciej Hamankiewicz, prezes Naczelnej Rady Lekarskiej. – *W jednym z carskich ukazów znalazło się wręcz zalecenie, by urzędnikom państwowym, a zwłaszcza lekarzom, zbyt dużo nie płacić, bo ludzie o nich zadbają. Lwia część naszego kraju była pod okupacją carską i ten sposób myślenia przetrwał w mentalności społecznej i umysłach rządzących.*

Potem mieliśmy PRL, gdzie pensje lekarzy były niskie, a popyt na usługi medyczne, zwłaszcza w niektórych dziedzinach, zawsze przewyższał podaż. I wreszcie lata 90., gdy każdy chciał się szybko dorobić, a czytelnym standardów etycznych nie było.

A jest jeszcze tło psychologiczne. Choroba to szczególna sytuacja, chodzi o wartości najważniejsze, jak zdrowie czy życie, człowiek ma więc potrzebę czuć się zaopiekowany, widziany indywidualnie. Pięciominutowe wizyty temu nie sprzyjają, więc choć podarek ma pomóc.

Psychologowie podkreślają też, że towarzyszenie w chorobie jest sytuacją nierozzerwalnie związaną z odczuwaniem wdzięczności. – *Ale mechanizm działa też w drugą stronę* – mówi dr Paweł Holas, terapeuta i psychiatra – *niemożność wyrażenia wdzięczności szkodzi. W niektórych sytuacjach odmowa przyjęcia prezentu przez lekarza bywa wręcz zabránieniem pacjentowi nadziei na zmianę, a często nawet załamaniem relacji terapeutycznej i z tej perspektywy mogłaby być traktowana wręcz jako zachowanie nieetyczne.*

Prof. Wiesław Jędrzejczak, wybitny internista i hematolog, opisał kiedyś w „Gazecie Wyborczej” jedno ze swoich dramatycznych doświadczeń: sąsiedzi przyszli do niego z prośbą, by zbałał ich matkę, która źle się poczuła. Przy okazji profesor znalazł guza przy kręgosłupie i zalecił udać się do innego specjalisty. Wbrew usilnym prośbom nie wziął pieniędzy za poradę. Kobieta zmarła, lekarz od innych sąsiadów dowiedział się potem, że rodzina chorej nie szukała dla niej leczenia, bo „przyszedł tu ten profesor, Jędrzejczak, ale było już tak źle, że nawet pieniędzy nie wziął”.

Dr Grzegorz Luboiński, onkolog, współtwórca programu walki z korupcją wśród lekarzy prowadzonego przez Fundację Batorego, dodaje, że podobny mechanizm jest wśród pacjentów wręcz powszechny; trzeba dużego wyczucia ze strony lekarza, by siebie i pacjenta w takich sytuacji wyprowadzić.

No i to pytanie: w imię czego mamy nie dawać pacjentom prawa do wdzięczności?

W Karcie Praw Lekarza jest wręcz zapis, że lekarz ma prawo przyjmować drobne podarunki. Nie ma co prawda takiego zapisu w Kodeksie Etyki Lekarskiej, choć tę praktykę akceptuje wielu, także wybitnych i rozpoznawalnych lekarzy. Nie zmienia to wszystko faktu, że w sprawie psychiatry Urszuli L., oskarżonej m.in. o przyjmowanie łapówek i uniewinnionej, jednym z głównych dowodów na korupcję była plastikowa, tandetna kiść winogron.

Legalnie zamiast pod stołem

Samo zjawisko pacjencko-lekarskiej korupcji ewoluowało. – *To tradycyjnie rozumiane finansowanie pod stołem stało się już problemem marginalnym* – mówi dr Grzegorz Luboiński. Autorzy „Diagnozy Społecznej 2011” obliczyli, że w latach

2007–11 ok. 2 proc. polskich gospodarstw domowych zainwestowało w coś, co miało zapewnić większą troskę o zdrowie lub umożliwić wybór lekarza. Kosztowało to przeciętnie 300 zł. Również ok. 2 proc. gospodarstw (choć od 2007 r. coraz mniej) wydało pieniądze – średnio 142 zł – na tzw. dowody wdzięczności.

Naczelny rzecznik odpowiedzialności zawodowej lekarzy podaje, że od pięciu lat do samorządu zawodowego wpływa corocznie mniej więcej tyle samo skarg na przyjęcie korzyści materialnej przez medyka: trochę ponad sto. Ostatecznie do sądu lekarskiego trafia z tego kilkanaście spraw rocznie, co w pojedynczych wypadkach kończy się ukaraniem. Statystyki w oficjalnych sądach są podobne.

– *Tym, co wniosło zmianę, jest pojawienie się prywatnych placówek medycznych* – uważa dr Grzegorz Luboiński. 1,5 mln Polaków ma abonamenty na usługi medyczne, około 10 mln osób korzysta z nich doraźnie. – *Standard jeszcze od czasów PRL, że łóżko w szpitalu publicznym uzyskuje się poprzez pierwszą, płatną wizytę w lecznicy ordynatorsko-profesorskiej, powoli zanika, bo proste zabiegi i operacje tanieją* – mówi. – *Zamiast płacić pod stołem w szpitalu, można płacić legalnie w prywatnej placówce.*

Ale jeszcze ważniejszy jest powód bardziej przyziemny: w ostatnich latach zarobki lekarzy wyraźnie wzrosły, proporcjonalnie spadła więc podatność na rozmaite, ryzykowne zawodowo i moralnie, bonusy. Zławsza że od czasu spektakularnej afery dr. G. lekarze boją się jakiegś prowokacji. Sto złotych wsunięte w kopertę nie jest już sumą, dla której warto by się narażać. Z danych Narodowego Funduszu Zdrowia wynika, że średnia lekarska pensja wynosi dziś około 5,1 tys. zł. Z badań ankietowych łódzkiego OZZL, że lekarze pracujący w tym województwie na etatach w szpitalach dostają średnio około 4 tys. zł, ale już pracujący na kontraktach – około 8 tys. zł. Specjaliści, którzy doliczają sobie dodatki za wysługę lat i odpowiednio dużo dyżurów, przynoszą miesięcznie około 20 tys. W największych szpitalach około 10 tys. miesięcznie na rękę to właściwie norma.

Spadła też atrakcyjność pozafinansowych prezentów. Kiedyś dość powszechną praktyką było, że doktor wypełniał w dzienniczku statystyki na temat przepisywanego leku X, co uprawniało go do wyjazdu na Malediwy w wypadku odpowiedniej liczby wystawionych recept. Obowiązująca ustawa prawo farmaceutyczne określa, że przedstawiciele firm nie mogą ofiarować lekarzom nic, czego wartość przekraczałaby 100 zł, i lekarze to respektują. Reprezentanci handlowi w medycynie (kiedyś nazywani repami) to jedna z branż najsilniej dotkniętych redukcjami etatów. Tuż znacznie powściągliwiej niż kiedyś korzystają też z zaproszeń na sympozja, jeśli ich wartość merytoryczna budzi wątpliwości. Zwłaszcza że takie fundowane szkolenia muszą być wycenione i ujawnione w zeznaniach podatkowych. Od kilku lat pilnują tego same firmy, bo nie chcą ryzykować reputacji i kłopotów z urzędami skarbowymi.

– *Dziś firmy próbują wiązać ze sobą bardzo młodych lekarzy, rokujących, że w przyszłości będą liderami opinii* – mówi prof. Mieczysław Gałuszka, socjolog medycyny i autor artykułów o korupcji w systemie ochrony zdrowia.

O klasyczną korupcję najłatwiej na styku dyrekcji szpitali, zwłaszcza mniejszych, powiatowych, i reszty świata. Reprezentanci firm handlujących sprzętem medycznym przynajmniej nieoficjalnie, że małemu szpitalowi można sprzedać drogi sprzęt za naprawdę niewielkie dowody wdzięczności, jak koszt dobrych win. Jak ujawniły media, jeden z największych amerykańskich koncernów produkujących sprzęt ortopedyczny mógł mieć specjalny fundusz na łapówki dla polskich dyrektorów szpitali, wręczane przy przetargach. Według dotychczasowych ustaleń prokuratury w Katowicach, która bada sprawę na zlecenie Prokuratury Generalnej, może chodzić o kilkadziesiąt szpitali w całym kraju. ►

► Medycyna feudalna

– Istotne elementy systemu wciąż pozostają korupcyjogenne – twierdzi jednak dr Grzegorz Luboiński. – Począwszy od tych dotyczących tworzenia list leków refundowanych, skończywszy na zasadach zdobywania specjalizacji bądź zakupów dokonywanych przez szpitale. Weźmy leki. Sprawę słynnej Iwabrady. Jeden minister arbitralną decyzją wpisał ten środek na listę refundacyjną, kolejny wykreślił, a dla mnie wątpliwe etycznie jest po równo wpisanie, jak i wykreślenie. Właściwe byłoby, gdyby cały proces podejmowania decyzji był przejrzysty i do tego dostępny w Internecie. Parę lat temu wspólnie z dr. Markiem Balickim stworzyliśmy coś jak listę działań, która powinna obowiązywać w procedurach medycznych, ale pomysł dotąd nie został wykorzystany.

Autorskim pomysłem Ministerstwa Zdrowia na uczynienie systemu refundacyjnego mniej wątpliwym było powołanie tzw. Rady Przejrzystości, mającej decydować, zakup których leków miałoby opłacać państwo. Rada miała liczyć 20 osób. W 2012 r. w całej Polsce udało się znaleźć tylko 18 osób; wszyscy pozostali kandydaci byli powiązani z koncernami farmaceutycznymi różnymi umowami – na badania leków, opracowania, opinie itd.

Idźmy dalej: specjalizacje. Polska ma ich najwięcej w Europie. Samej chirurgii jest kilkanaście odmian. Niby istnieje jakiś system, kolejne kroki służące zrobieniu specjalizacji zostały jasno określone, a proces zajmuje sześć lat, ale w praktyce niektórym ordynatorom zdarza się mieć po kilka, zrobionych jakimś cudem w dwa lata. Na jedne specjalizacje nie sposób się dostać (np. dermatologia), innych nie sposób skończyć – na anestezjologii, po sześciu latach przygotowań, egzamin końcowy zdało jedynie 18 proc. osób, co oznaczać może jedynie, że coś było nie tak z egzaminem. Specjalizacja gerontologiczna nie funkcjonuje w ogóle, choć to dziś najpilniej potrzebni lekarze. Niejasny jest tryb, w jakim Ministerstwo Zdrowia podejmuje decyzje o opłaceniu tzw. rezydentur – czyli miejsc dla robiących specjalizację, której koszty pokrywa budżet ministerstwa. A badani przez CBOS Polacy są zdania, że służba zdrowia to akurat ta branża, która jest najbardziej dotknięta nepotyzmem. Ale czy nepotyzm to forma korupcji?

Brak procedur wewnątrzszpitalnych, połączony z feudalną wciąż organizacją w medycynie, przejawia się też tym, co dr Luboiński nazywa korupcją wewnętrzną: firma farmaceutyczna zleca szpitalowi badania leków, za które płaci się ordynatorowi, ale rubryczki wypełnia asystent, który za to dostaje jakieś grosze, obietnicę otwarcia specjalizacji czy wyjazdu z koncernem farmaceutycznym na sympozjum zagraniczne. Sam ordynator, formalnie pozostaje współautorem badań, dopisuje to sobie do CV. Ale to znów bardziej przejaw folwarcznych stosunków w służbie zdrowia niż typowa korupcja.

Gdy piana opada

Źródłem dyskomfortu etycznego w służbie zdrowia – pomijając kwestie bioetyczne – są dziś bardziej stosunki wewnętrzne niż relacje lekarz–pacjent. Sprawą zasadniczą jest brak mechanizmów pozwalających na dostęp do najnowszej wiedzy. – Za czasów PRL, mimo zamkniętych granic, polscy lekarze dużo uczyli się od lepszych – opowiada dr Luboiński. Mechanizm działał tak: jeśli lekarz zarabiał w Polsce odpowiednik 20 dol., a wyjeżdżając na stypendium mógł dostać 300, to opłacało się jeździć. – Dziś lekarz mający na utrzymaniu rodzinę rezygnuje z wyjazdów, bo przecież wyjeżdżając, przestaje zarabiać. A jeśli już zdecyduje się wyjechać

i zrobić doktorat za granicą, to zwykle nie ma żadnych powodów, żeby wrócić. Choćby dlatego, że – jak mawiają moi przyjaciele pracujący za granicą – tamtejsi asystenci nie mają o czym rozmawiać z polskimi profesorami, z których wielu ma nawyki feudalne, a mentalnie utknęło w medycynie sprzed paru dekad. Żeby podtrzymywać jakieś zagraniczne kontakty, pozostaje współpraca z koncernami farmaceutycznymi. Etycznie wątpliwa.

Pochodną jest sprawa kolejna: brak zaplecza sprzętowego. W tej dziedzinie świat też poszedł do przodu. My mamy np. robota Da Vinci, ultranowoczesną maszynę do operowania. Po dwóch latach użytkowania przeprowadzono na niej ponad sto operacji; uznaje się, że 50 zabiegów daje lekarzowi jakieś takie doświadczenie. A dostęp do sprzętu jest reglamentowany.

Także prywatne placówki i szpitale na ogół oszczędzają na sprzęcie. Najpopularniejszy warszawski prywatny szpital położniczy przyjmuje jedynie najprostsze przypadki, wszystko, co mogłoby nieść ryzyko, odsyła do publicznej służby zdrowia. W innych placówkach uznani transplantolodzy robią by-passy, bo nic innego zrobić się tam nie da.

A na to wszystko nakłada się jeszcze jeden mechanizm: choć polscy lekarze i placówki leczą różnie, pacjenci nie mają szans, by się w tym wszystkim zorientować. W Holandii, np. w chirurgii, standardem są rankingi – tworzone przez samych lekarzy danej specjalności na podstawie liczby przeprowadzonych operacji i częstotliwości powikłań. To wyróżnienie być w pierwszej dziesiątce czy piątce. W wielu krajach statystyk powikłań pilnują ubezpieczyciele; jeśli któryś lekarz wyraźnie przekracza powikłaniowe normy, odmawiają swoim klientom refundacji zabiegów u tego konkretnego medyka.

W Polsce NFZ miałyby możliwość, by takie dane gromadzić i publikować, ale nic takiego się nie dzieje. Lekarze nie mają motywacji, by się doszkalać. Pacjentom pozostaje poczta pantoflowa.

A ta jest oparta na emocjach. Więc pacjenci stają na głowie, by dostać się do uznanego specjalisty lub placówki. Chętnie by płacili, gdyby wiadomo było komu i ile i gdyby było to bezpieczne. A tak znowu, jak za czasów PRL, pozostaje szukanie dojsć.

Zdaniem Grażyny Kopińskiej z Fundacji Batorego, temat korupcji w służbie zdrowia szczególnie podlega okresowym modom. Na fali zwiększonego zainteresowania korupcją każda wzmianka o możliwości wystąpienia nadużycia przynosi głośnie dyskusje i poważne, nieraz dramatyczne konsekwencje dla osoby podejrzanej. Tak było ostatnio, kiedy znanego profesora oskarżono, że przy przeszczepach preferencyjnie traktuje pacjentów swojej prywatnej kliniki. Kiedy fala opada, nawet poważne nadużycia nie wywołują u pacjentów większych emocji – publiczność zakłada, że znów politycy biją pianę kosztem jakiegoś doktora.

A jeśli chodzi o doktorów: G., po sześciu latach procesu, został skazany na rok więzienia, w zawieszeniu na dwa lata. To najniższy możliwy wyrok z paragrafu o korupcję. Dziś wiadomo już też, że z głośniejszych zatrzymań, spektakularnych aresztów, nie ostał się ani jeden wyrok potwierdzający oskarżenia. Uniewinniony został kardiochirurg z Białegostoku Tomasz Hirnle. Uniewinnieni zostali psychiatrzy Urszula L. i Andrzej Sz., choć wciąż nie ostatecznie, bo po prawie 7 latach proces dalej trwa – są odwołania. Trwają też jeszcze sprawy o niesłuszne, wielomiesięczne areszty i znieszczone zdrowie – lekarzy.

Służba zdrowia ma wiele problemów etycznych, ale akurat przyjmowanie dowodów wdzięczności to dziś najmniejszy z nich.

MARTYNA BUNDA, WSPÓŁPRACA JOANNA CIEŚLA

Temat korupcji w służbie zdrowia podlega okresowym modom. Na fali zwiększonego zainteresowania każda wzmianka o możliwości wystąpienia nadużycia przynosi głośnie dyskusje i konsekwencje dla osoby podejrzanej. Kiedy fala opada, nawet poważne nadużycia nie wywołują większych emocji.

Trzecia nóżka

Stół, żeby stać, musi mieć przynajmniej trzy nogi. Nasz system emerytalny też. I ma, ale wszystkie są kulawe. A najbardziej trzecia.

JACEK ŻAKOWSKI

systemie tak zwana stopa zastąpienia, czyli relacja emerytury do ostatniej płacy, to trochę ponad 2/3. W nowym systemie będzie to nieco ponad 1/3. Jeśli za 2/3 pensji ciężko dziś większości emerytów przeżyć, trudno liczyć, że w przyszłości przeciętny Polak przeżyje za połowę tej kwoty.

Można się ludzić, że jest to zmartwienie przyszłych emerytów. Ale złudzenia kosztują.

A to złudzenie może kosztować dużo szybciej i więcej, niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Z czegoś przecież trzeba będzie do głodowych emerytur dołożyć. Zwłaszcza że niebawem właśnie emeryci starzejącego się wyżu demograficznego będą stanowili większość czynnego elektoratu. I demokratycznie upomną się o swoje. Żaden rząd im się nie oprze. Dołoży albo upadnie. A z czego dołożyć? Najprościej z kieszeni tych, którzy wtedy będą pracowali. Sposoby są z grubsza dwa.

Można uszczelnić przepisy kodeksu rodzinnego nakazujące utrzymywanie niezdolnych do pracy rodziców przez dzieci. Ideologicznie mogłoby się to podobać konserwatystom i neoliberalom, ale ekonomiczna skuteczność takiego

rozwiązania nie będzie zbyt duża. Bo w większości rodzin pozycja społeczna rodziców ma wpływ na pozycję

dzieci. Czyli biednych emerytów zwykle musieliby wspomagać biedni pracujący. To się w większości przypadków nie sprawdzi.

Druga możliwość jest taka, że zbyt niskie emerytury będzie wspomagał budżet. Tak jak to robi

dziś, dokładając do najniższych świadczeń.

Ale to jest możliwe, tylko dopóki głodowych emerytur jest relatywnie mało. Gdy będzie ich większość (a w nowym systemie będzie to zdecydowana większość), budżet nie da rady. Chyba że się radykalnie podniesie podatki. Ale wtedy na dłuższą metę budżet tym bardziej nie da rady, bo radykalnie podniesione podatki zduszą gospodarkę i wpływy podatkowe spadną.

Skoro wiemy, że płynąc tym kursem nieuchronnie zderzymy się z górą, trzeba dziś tworzyć rozwiązania, które złagodzą napięcia nieodległej przyszłości. Najprościej by było odbudować piramidę pokoleń. Gdybyśmy się do tego zabrali przed dekadą, dziś nie ►

Skóra cierpnie, kiedy się pomyśli o wynikach przeprowadzonych właśnie badań emerytalnych. Bo obraz jest z grubsza taki, jaki musiał widzieć majtek z „Titanica”, kiedy zobaczył górę lodową, której statek nie był już w stanie ominąć. Szczytem możliwości była sprawna ewakuacja. Ale wiedział, że nikt nie jest na nią gotowy. Teraz jest podobnie.

Mam nadzieję, że trochę już Państwa nastraszyłem. I dobrze. Nie dlatego, że lepiej bać się w grupie niż samemu. Chodzi o to, że trzeba zacząć coś robić. Póki jeszcze czas dokupić szalupy.

Dziś wyżyć z emerytury jest trudno. Ale przyszli emeryci będą dzisiejsze emerytury wspominali jak bajkę. W dotychczasowym

© MIROSLAW GRYN

► groziłoby nam zderzenie. Najwyżej byśmy się o górę otarli. Ale przeżywalibyśmy moralne wzmocnienie IV RP i wolelibyśmy zajmować się lustracją, dekomunizacją, układem, Rywinem, obniżaniem podatków najbogatszym. Na demografię nie było głowy ani pieniędzy. Stać nas było tylko na symboliczne gesty typu becikowego. Teraz jest dużo trudniej. Rząd zaczyna robić to, co trzeba było zrobić dziesięć lat temu, ale działa nieśmiało i niekonsekwentnie. Jakaś ulga może z tego spóźnionego demograficznego wysiłku kiedyś będzie. Ale rozwiązania problemu już nie.

Przez jakiś czas dobrym ratunkiem wydawały się OFE. Ale to też było złudzenie. Gdyby system OFE nie był tak drogi, tak szczydry dla prowadzących je firm, tak wrażliwy na koniunkturalne wahania, tak uzależniony od państwowych obligacji i gdyby finansowano go z prywatyzacji, a nie z dochodów ZUS, wypłaty drugiego filaru mogłyby kiedyś dać odczuwalną ulgę budżetowi. Ale poszło inaczej. Nie ma już o czym mówić. Mleko się rozlało. Drugi filar w dzisiejszej postaci może – podobnie jak program demograficzny – trochę złagodzić przyszły kryzys emerytalny, ale nie będzie miał zasadniczego znaczenia. Nawet jeśli gospodarka będzie rosła jak wściekła, milionom emerytów trzeba będzie pomagać.

To nie jest nowa wiadomość. Nowa wiadomość – od której skóra ciępnie i góra lodowa staje przed oczami – jest taka, że poza pierwszym emerytalnym filarem (ZUS), który nie wystarczy ze względów demograficznych, i drugim (OFE), który się okazał za drogi i mało skuteczny, nie możemy też liczyć na nasze szalupy ratunkowe, czyli trzeci filar, którym miały być powszechne, dobrowolne, uzupełniające ubezpieczenia emerytalne.

Z niepublikowanych jeszcze badań SMG/KRC dla Polskiej Izby Pośredników Ubezpieczeniowych i Finansowych wynika, że przynajmniej 85 proc. Polaków w żaden sposób nie oszczędza na emeryturę. To znaczy, że będą całkowicie zależni od tego, co dostaną z pierwszego i drugiego filara (ZUS+OFE), czyli od emerytur niższych o połowę niż dzisiejsze. Wśród tych, którzy oszczędzają, większość też odkłada zbyt mało, żeby dołożyć do przyszłej emerytury i przeżyć o własnych siłach. Jeżeli nic się nie zmieni, skądś trzeba będzie 90 proc. emerytów dołożyć. Z grubsza drugie tyle, co dostaną z ZUS. Inaczej polskie miasta zamienią się w piekło Kalkuty. Z chodnikami pełnymi przymierających głodem, umierających z zimna bądź z nieleczonych chorób, bezdomnych starych ludzi. Nie jest to wizja XXII w. ani nawet drugiej połowy XXI w. To nam grozi za życia większości dziś pracujących. Za 20–30 lat.

Nie powinniśmy się też specjalnie łudzić, że ta nieliczna mniejszość, która coś gromadzi na starość, sama da sobie radę. Z tych samych badań wynika, że wśród kilkunastu procent pracujących, którzy poza obowiązkowym systemem coś próbują odłożyć na emeryturę, ponad połowa ma prywatne ubezpieczenia, jedna czwarta ma inne oszczędności (np. lokaty), co piętnasty ma jakieś inwestycje (akcje, nieruchomości, precjoza). Wartość tych oszczędności trudno oszacować. Na ogół nie są to jednak bardzo duże kwoty. Dość dużo wiadomo natomiast o monitorowanych przez Komisję Nadzoru Finansowego oszczędnościach w systemie IKE (Indywidualne Konto Emerytalne) i IKZE (Indywidualne Konto Zabezpieczenia Emerytalnego) – dwóch ustawowych formach preferencyjnego oszczędzania na przyszłe emerytury.

IKE i IKZE (oraz pracownicze programy emerytalne – PPE) były odpowiedzią rządów na wyliczenia, które wskazywały, że wypłaty z nowego systemu nie starczą większości przyszłych emerytów na życie. Obywatele zachęcani specjalnymi ścieżkami oszczędzania, mieli własnym wieloletnim wysiłkiem zmniejszyć obciążenia budżetu w przyszłości. Według SMG/KRC z działających od ośmiu lat IKE korzysta jednak tylko 15 proc. wszystkich oszczędzających na starość dorosłych (według KNF 6 proc. osób aktywnych zawodowo), a z działających rok IKZE – zaledwie 2 proc. Łącznie nieco ponad 2,5 proc. an-

kietowanych. Czyli praktycznie nieistotny dla obciążeń przyszłego budżetu margines.

Porażka IKE ma jeszcze gorszy wydźwięk, gdy weźmie się pod uwagę wartość zgromadzonych na nich oszczędności. Po ośmiu latach działania na przeciętnym IKE zgromadzono niespełna 4 tys. zł. Uczestnik systemu gromadził więc średnio 500 zł rocznie. Oszczędzając w tym tempie przez 40 lat pracy przyszły emeryt zebralby 20 tys. zł. Statystyczny mężczyzna ma z tych oszczędności dokładać do emerytury przez ok. 15, a kobieta przez ok. 25 lat. Przeciętny oszczędzający mężczyzna otrzymałby więc nieco ponad 110 zł miesięcznie dodatku do emerytury, a kobieta niespełna 70 zł. Plus ewentualne odsetki. Trudno widzieć tu rozwiązanie nadciągającego kryzysu emerytalnego. Zwłaszcza że liczba IKE spada. Miało z nich korzystać 6–7 mln osób, ale istnieje zaledwie 800 tys. kont. W dodatku tylko jedna trzecia z nich to konta aktywne, na które w ciągu ostatniego roku wpłynęła przynajmniej jedna wpłata.

Jeszcze słabiej przyjęły się Pracownicze Programy Emerytalne. Bierze w nich udział niespełna 350 tys. osób. Każda z nich zgromadziła średnio ok. 19 tys. zł. Ale tu przynajmniej trend jest pozytywny. Programów jest ponad tysiąc i trochę ich przybywa, a w 2011 r. dobrowolne składki pracodawców na PPE po raz pierwszy przekroczyły sumę miliarda złotych.

Rozczarowanie IKE i PPE sprawiło, że reformując OFE, rząd Tuska wymyślił i stworzył IKZE. Wiele wskazuje, że jest to jeszcze większa porażka. Powodów jest kilka. Po pierwsze, z badania SMG/KRC wynika, że mimo głośnych zaledwie dwa lata temu sporów i gorących debat, o istnieniu IKZE słyszał tylko jeden na dziesięciu badanych. W tej sytuacji powstanie ponad 300 tys. kont IKZE przez pierwsze pół roku działania ustawy jest wynikiem niezłym, choć o wiele niższym od oczekiwań rządu. Gdy tworzone IKZE, zakładano, że w 2013 r. założy je co najmniej 10 proc. uprawnionych, czyli ok. 2 mln osób. Miało to spowodować zmniejszenie wpływów z PIT o ok. 400 mln. Ale w pesymistycznym dla budżetu wariantcie liczono się też z ubytkiem rzędu 3,5 mld zł, czyli z możliwością powstania kilkunastu milionów kont w pierwszym roku działania systemu.

Słaba znajomość nowej formy oszczędzania na emeryturę może tłumaczyć niższą od oczekiwaną liczbę założonych kont, ale nie wyjaśnia, dlaczego w pierwszym półroczu tylko na 12 tys. (4 proc.!) z nich dokonano jakiegokolwiek wpłaty. W zapowiadającym próbę nowelizacji ustawy o IKZE liście do ministra finansów Jacka Rostowskiego minister pracy Władysław Kosiniak-Kamysz wskazuje dwie przyczyny: sytuację finansową gospodarstw domowych, których nie stać na większe oszczędności, oraz konstrukcję IKZE.

Na pierwszy rzut oka IKZE wygląda ciekawiej niż IKE i PPE. Wpłaty są tu bowiem odliczane od podstawy opodatkowania, czyli można powiedzieć, że w odróżnieniu od obu wcześniejszych systemów tym razem państwo od razu dokłada się do przyszłych emerytur z trzeciego filara. We wcześniejszych systemach tylko przyszłe wypłaty wolne są od podatku Belki, który muszą płacić uczestnicy zwykłych, komercyjnych programów emerytalnych.

Niewielka grupka osób, które w pierwszej chwili założyły konta, musiała się jednak szybko zorientować, że nowy przywilej łączy się z ryzykiem dość istotnej straty. Bo wypłaty z IKZE mają być opodatkowane na ogólnych zasadach. Po pierwsze więc ten, kto kiedyś dokona jednorazowej wypłaty całej zgromadzonej kwoty, może łatwo wpaść w drugi przedział skali podatkowej. Co z tego, że teraz zaoszczędzi na podatkach 18 lub 19 proc. (w przypadku samozatrudnionych), skoro potem zapłaci 32 proc. Kto się z taką możliwością liczy, woli teraz zapłacić podatek, odłożyć pieniądze na lokacie i nic już nie płacić od wypłat.

Niemal pewną korzyść z IKZE odnoszą tylko najlepiej zarabiający, płacący dziś 32 proc. PIT. A ich w 2011 r. było 521 tys., czyli niewiele ponad 2 proc. podatników. I oni jednak odkładając w IKZE podejmują ryzyko, bo Zachód wszedł raczej w fazę podwyższania niż obniżania podatków. Nawet więc jeżeli w przy-